

Ewa Nawrocka

Wszyscy jesteśmy przestępcami

Jednak Książki. Gdańskie Czasopismo Humanistyczne nr 1, 257-263

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JEDNAK KSIĄZKI



GDANSKIE CZASOPISMO HUMANISTYCZNE

2014 nr 1

(mało)miejskość

KONFRONTACJE

WSZYSCY JESTEŚMY PRZESTĘPCAMI

EWA NAWROCKA

Wiele nas boli. Wiele nas oburza. I jest ku temu wiele powodów. Wiele i różnych – przeczuwanych, odczuwanych, uświadamianych; rzeczywistych albo urojonych, obiektywnych i subiektywnych, w skali mikro naszej prywatnej egzystencji, naszego polonistycznego podwórka, całego Wydziału Filologicznego, całego uniwersytetu i jeszcze szerzej – całego kraju... Rozmawiamy o tym: w domu, w rodzinach, w naszych uniwersyteckich pokojach, w bufecie, na korytarzach, na prywatnych spotkaniach, w kuluarach sesji i oficjalnie w konferencyjnych wystąpieniach; z głębokim bólem i płomiennym oburzeniem. Niektórzy piszą listy do koleżanek i kolegów z innych uczelni, do Rady Wydziału, do Rektora Uniwersytetu, do prasy...

Wszyscy mają poczucie, ba pewność, że jest źle, bardzo źle: z polonistyką, z humanistyką, z nauką, z uniwersytetami, z kondycją duchową społeczeństwa i że będzie jeszcze gorzej. Wszystko toczy się po równi pochyłej... Jesteśmy obolali, oburzeni, wkurzeni... Nawet najostrzejsze słowa nie są w stanie tego wyrazić...

I co z tego wynika? Nic!!! Wielkie, piramidalne, obezwładniające NIC.

Pracownicy Katedry Teorii Literatury i Krytyki Artystycznej postanowili **COŚ** zrobić. Na początek wypowiedzieć, spisać nasze bóle i nasze oburzenia, spisać „czyny i rozmowy”, jak mówi poeta. Po to, by zdiagnozować stan rzeczy, opisać rzeczywistość i nasze jej rozpoznanie. Zwróciłam się drogą e-mailową, a także ustnie i osobiście

do kierowników katedr Instytutu Filologii Polskiej UG i także do niektórych zaprzyjaźnionych koleżanek i kolegów z innych filologicznych instytutów z prośbą, by odpowiedzieli pisemnie na pytanie „Co nas boli? Co nas oburza?”.

I co? I NIC! Odpowiedziało **dziewięć osób**, siedem z naszej katedry oraz jeden językoznawca i jeden historyk literatury. Dziewięć osób na przeszło 80 pracowników Instytutu Filologii Polskiej. Dziewięciu sprawiedliwych czy dziewięciu naiwnych? Dziewięciu frustratów czy dziewięciu anarchistów? Dlaczego nasza inicjatywa nie znalazła odzewu? Czy pytanie zostało źle sformułowane? Nie w porę? Czy już tak długo i tak głęboko zanurzyliśmy się w szambie, że pokochaliśmy to swoje poniżenie i smród rozkładu?

Ta sytuacja mówi coś o nas samych. Dał o sobie znać **kompleks Smerfa Marudy**: Nie warto! Na pewno się nie uda! Żadne działania, a tym bardziej gadania nie mają sensu! Nic od nas nie zależy! Jakoś to będzie, jakoś się ułoży... Najlepiej bez naszego udziału.

Może jest jeszcze gorzej: **obezwładniający konformizm**, czy wręcz zwykle **tchórzostwo**, lęk przed wychyleniem się, odsłonięciem, narażeniem się... Każdy ma coś do stracenia. **Młodzi pracownicy** stoją pod ścianą i perspektywą gilotyny. Umowy o pracę adiunktów zawarte na czas określony, krótki, bo trzyletni, mogą nie zostać przedłużone i wtedy na bruk! Habilitacja niezrobiona w terminie – na bruk! Bywa, że recenzje habilitacji są po kumotersku bardzo pozytywne, albo wprost przeciwnie – pryncypialnie negatywne, gdy wychodzą z założenia jedynie słusznej, jedynie naukowej, jedynie obowiązującej metodologii. Jest się czego bać!

Wniosek o profesurę belwederską może zostać przez Radę Wydziału odrzucony z powodów ideologicznych: kandydat na profesora jest zanadto religijny, czytaj: katolicki, albo światopoglądowo niewyrazisty lub uformowany w minioniej, niesłusznej, czytaj: komunistycznej, epoce. Pasje lustracyjne rozmaicie i przeciwstawnie motywowane są w polskim środowisku naukowym w stanie wrzenia.

Jak wiadomo, nowa ustawa o szkolnictwie wyższym w sprawie profesury pozbawia Radę Wydziału prawa decydowania, wprowadza coś w rodzaju sądów kapturowych, których tajne „wyroki” muszą być zaakceptowane.

Ale jest i druga strona medalu, równie obrzydliwa. Przedłużenie umowy o pracę adiunkta oraz awans na profesora uczelnianego musi odbywać się drogą konkursu. Tylko że te konkursy są z góry ustawione. Są fikcją. Wszak chcemy przedłużyć umowę **naszemu** adiunktowi, oczywiście dlatego, że jest dobry; ale także dlatego, że jest **nasz**, bez względu

na to, jak dobrzy będą jego konkurenci stający do konkursu i nieświadomi, że biorą udział w żenującej fikcji, upokarzającej wszystkich uczestników tej farsy. To przestępstwo.

Jest jeszcze gorzej. Są adiunkci nie do ruszenia, mimo że ich obecność na uniwersytecie jest wielką pomyłką, o czym wszyscy wiedzą. Nie robią latami i nie robią habilitacji, albo robią ją na kompromitującym poziomie. Wykorzystali wszystkie możliwe urlopy, są stale na zwolnieniach lekarskich, potem wchodzi w wiek przedemerytalny i są nietykalni. Blokują etaty, demoralizują studentów, generują koszty edukacji (zastępstwa), olewają swoje nauczycielskie obowiązki. To kolejne przestępstwo.

Profesorowie w zdecydowanej większości jakby z zasady w nic się nie angażują. Zamknięci w wieży z kości słoniowej „nauki czystej”, robią swoje, to znaczy: piszą swoje kolejne książki znane w wąskim gronie specjalistów, których nie czytają nawet ich studenci; jeżdżą na kolejne konferencje krajowe i zagraniczne, zapraszani drogą półprywatną (zresztą to **tylko ich** stać na zapłacenie wpisowego 300, 400, a nawet 500 złotych, opłacenie podróży i hotelu, w sumie 700–1000 złotych na jeden konferencyjny wyjazd) – potem publikują w książkach pokonferencyjnych, które muszą **udawać monografie**, bo za monografie liczy się więcej punktów; piszą na prawo i lewo recenzje doktoratów i habilitacji, często w wąskim kręgu wzajemnych usług, co nie oznacza, że piszą je szybko (trwa to nieraz więcej niż pół roku, a nawet dziewięć miesięcy); pracują na paru etatach; chcą w spokoju dotrzeć do emerytury, już nie wychylą się, nie nadstawią głowy, nie zajmą stanowiska... Często znudzeni, wypaleni, zniechęceni, bez wiary w skuteczność jakichkolwiek działań zmierzających do zmiany *status quo* albo przystosowujący się do każdej sytuacji. Powszechny, zatrwajaający upadek etyki w nauce nie jest tajemnicą.

Rozrasta się i umacnia Rzeczpospolita urzędasów. Pracownicy naukowci (zwróćmy uwagę na tę nazwę: „pracownicy”), pełniący z największą ofiarnością funkcje kierownicze w katedrach, instytutach, dziekanatach, z musu zamieniają się w sterowanych odgórnie urzędników instytucji: dniami i nocami przez tygodnie i miesiące, kosztem zdrowia, snu, nerwów, własnej pracy naukowej i dydaktyki, piszą sprawozdania, wypełniają ankiety, liczą godziny, przycinają siatki, kombinują, jak wyprowadzić władze zwierzchnie i ministerialne w pole, wymyślają nowe nazwy przedmiotów, zadrukowują tony papieru, co parę dni zmieniają wyliczenia i wykresy, bo rektorat przysyła nowe wytyczne, coraz to spływające z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Urzędasy na wszystkich szczeblach władzy, oderwani od rzeczywistości, zanurzeni w papierach, sprawozdaniach, protokołach, projektach, sylabusach, notach, liczbach, punktach, grantach, projektach, obozwardniają, paraliżują, zatrują, straszą, grożą w imię

fikcji, utopii, matrixu iluzorycznej reformy szkolnictwa, w imię nowoczesności, innowacyjności, europejskości i mitycznej Ameryki jako wzoru.

Nikommu nie przychodzi do głowy elementarne pytania: **po co komu Uniwersytet? i jaki powinien być?** Czy kiedykolwiek na którejkolwiek Radzie Wydziału i na Senacie odbyła się dyskusja o istocie, powinności, duchu uniwersytetu? NIGDY!!! Wiem to, bo przez 45 lat mojej pracy na gdańskiej uczelni uczestniczyłam jako reprezentant różnych grup społeczności akademickiej w posiedzeniach Rad Wydziału i Senatu. To gremia do głosowania i zatwierdzania, nie do dyskusowania.

Tak, wiem, że „**teraz jest czas na weksle, nie na książki**” – cytuję przenikliwe i prorocze słowa niegdysiejszego młodego i buńczucznego polityka z Kongresu Liberalów, który dziś jest odpowiedzialny za kierunek zmian w kraju. Gdański Uniwersytet jest **największym deweloperem na Pomorzu**. Buduje od lat coraz większe, coraz nowocześniejsze i coraz droższe budynki. Daje zarobić niezliczonej liczbie wykonawców i firm dostawczych. Pensje tzw. pracowników naukowych, już nawet nie uczonych, raczej wyrobników wyrabiających swoje ustawowo wymagane godziny, stoją od lat w miejscu na poziomie najniższym w ramach placowych widełek.

Aby zorganizować spotkanie studentów z naszym emerytowanym profesorem w jakiegokolwiek sali na wydziale, musimy uzyskać pisemną zgodę Kanclerza na bezpłatne jej wykorzystanie. Mógłby się nie zgodzić, a wtedy trzeba by było płacić za „wynajem” sali. Na wszystkim można zarobić. Przed laty, na polecenie kierowniczkich dziekanatu, szatniarze odmawiali przyjmowania płaszczy od przychodzących na wykłady z cyklu „Czytanie Szekspira”.

Rektor Uniwersytetu Gdańskiego, jako jedyny kandydat na to stanowisko, wybrany na drugą kadencję przez stary Senat, w imię oszczędności wymusza redukcję godzin dydaktycznych: nie tylko drastyczne ograniczenie ich liczby, ale i zamianę ćwiczeń na wykłady w proporcji 50 na 50 procent. Nie daje sobie wytłumaczyć, że dzisiaj istotą edukacji w szkole wyższej, zresztą nie tylko uniwersyteckiej, ale zwłaszcza w dziedzinie humanistyki jest **rozmowa, dialog, komunikacja**, a to da się przeprowadzić przede wszystkim na ćwiczeniach i konwersatoriach, i nie w grupach ponad trzydziestoosobowych. Nie ma innego sposobu owocnej edukacji, przygotowania do życia w społeczeństwie niż żywy kontakt studenta z nauczycielem: adiunktem, profesorem; Człowieka z Człowiekiem w rozmowie, dyskusji, sporze, polemice. Gdzie się mamy tego nauczyć, jak nie na uniwersytecie? Rektor uniwersytetu odmawia zgody na nowe etaty, nawet na wymianę etatu odchodzącego na emeryturę profesora na etat

adiunkta, wymusza likwidacje nadgodzin obsadzeniem zajęć przez doktorantów – nowoczesnych niewolników w obliczu prawa.

Zarządzający nauką w tym kraju nie zdają sobie sprawy z tego, że Uniwersytet to nie budynki, przeszkolone hole, labirynty korytarzy, windy i najdroższa aparatura – martwa kamienna i szklana pustynia. Że Uniwersytet to przede wszystkim sprawa Ducha i Intelaktu, bezinteresownej miłości do wiedzy i nauki, ciekawość i zapał, radość i odwaga myślenia, sztuka zadawania pytań i szukania odpowiedzi; to pasja tworzenia, umiejętność komunikacji i dialogu, to przestrzeń obcowania z wartościami, przestrzeń, w której spotykają się **Uczeni** i **Studenci**. **Uczeni** – ludzie z wiedzą i pasją, odważni i etyczni, uczciwi i prawi, niezależni od urzędasów i politycznej koniunktury. Ich podstawową powinnością jest uczciwe, twórcze, niezależne, wolne, niezadekretowane myślenie, **krytyczne myślenie** i tego mają uczyć **Studentów** w procesie wzajemnie stymulowanej intelektualnej interakcji. Czy to jeszcze gdziekolwiek istnieje?

Bezmyślna i nieodpowiedzialna reforma szkolnictwa podstawowego i średniego doprowadziła do kompletnej zapaści edukacyjnej. Jej autorzy i orędownicy już gryzą ziemię, nauczyciele zaś zmagają się z przeszkodami nie do przekroczenia, a my dostajemy studentów niedouczonego, niemyślących, intelektualnie leniwych i biernych, do tego aroganckich i niezainteresowanych studiami poza zdobyciem papieru.

Czy jednak mamy moralne prawo na nich narzekać? Bez sprzeciwu pogodziliśmy się z likwidacją egzaminów wstępnych i regulami nowej ogłupiającej, testowej matury; prawie bez sprzeciwu wdramy kolejne absurdalne ministerialne dyrektywy, ulegamy naciskom i manipulacjom władz zwierzchnich ze szkodą dla siebie i studentów. To też jest przestępstwo.

Co Uniwersytet oferuje swoim studentom? Coraz to nowe kierunki, na których wciskamy im iluzoryczną, nikomu do niczego niepotrzebną, szczątkową, okrojona, pozorną wiedzę, której oni i tak nie przyswajają, bo już widzą, że to się im do niczego nie przyda, nie poprawi ich sytuacji na rynku pracy. Uprawiamy wzajemne, obrzydliwe oszukańcze praktyki. My ratujemy swoje etaty, kombinując, skąd by tu jeszcze znaleźć godziny, które nam rektor i ministerstwo każą ograniczać. Studenci nie uczą się i nie umieją się uczyć; nie czytają literatury, nie myślą, nie są w stanie zbudować dłuższej, spójnej, merytorycznej wypowiedzi ustnej, piszą z błędami stylistycznymi i ortograficznymi. Trudno się nawet temu dziwić. Język polski jest w Polsce dyskryminowany jako język naukowy. Najwyżej punktuje się publikacje pisane w językach obcych. Kultura języka w społeczeństwie jest

na coraz niższym poziomie. Jego żenujące kalectwo „widać, słyszać i czuć” w atakujących nas zewsząd wypowiedziach polityków i dziennikarzy.

A studenci? Czy żądają, by od nich czegoś wymagano? By uczciwie rozliczano z tych wymagań? Czy skarżą się na olewanie zajęć, na niepunktualnych i nieprzygotowanych do zajęć wykładowców, nudne ćwiczenia i mało interesujące wykłady; na powtarzane na I i II stopniu edukacji tematy, lektury, metody dydaktyczne? Nie chodzą na zajęcia, notorycznie zrzynają z Internetu, nieskończenie zaliczają ćwiczenia, wymuszają kolejne terminy egzaminów. Władze idą im na rękę, egzaminatorzy kapitulują ze zmęczenia, zniechęcenia, obrzydzenia. Mało kto odważa się oblać studenta, bo rozpadnie się grupa, bo zabraknie godzin, bo zagrożone będą nasze etaty. To dopiero jest przestępstwo. Czy studenci potępiają ściąganie i kupowanie prac licencjackich i magisterskich? Czy oburzają się na praktyki lapówkarskie? Czy razi ich wulgarne słownictwo, rynsztokowy język kolegów i (niestety) koleżanek?

Powszechnie daje znać o sobie **syndrom kacetu**. Jedni są ofiarami, drudzy katami i to na zmianę. Jedni i drudzy są sobie potrzebni, podzielili się funkcjami i rolami, weszli w te wyznaczone role i dobrze im z tym.

262 | A może nie należy obrażać się na rzeczywistość? Może prorocze hasło **prymatu weksla nad książką** należy obrócić na swoją korzyść? Może należy zlikwidować państwowe uczelnie wyższe w obecnym kształcie, rozwiązać anachroniczne, skostniałe uniwersytety, rozpędzić na cztery wiatry Ministerstwo Nauki? Skoro państwo nie ma pieniędzy na naukę, na nic nie ma pieniędzy, niech się odczepi. Niech zapanuje wszechwładne, zdrowe prawo rynku. Wiedza jest towarem, trzeba ją dobrze sprzedać i drogo kupić. Żadnych etatowych pracowników naukowych, żadnych ministerialnych programów, żadnych państwowych dotacji, nominacji i kontroli. „Rób, co możesz” – mówi anioł we śnie do Czesława Miłosza. Zawsze coś możesz zrobić! „Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi”! Organizujmy się w uniwersyteckie korporacje lokalne, skrzyknijmy się i stwórzmy atrakcyjne programy nauczania. I własne zasady finansowania. Papiery i dyplomy nieważne, bo i tak w praktyce liczą się umiejętności, nie papiery. Niech rynek weryfikuje naszą przydatność w życiu i na uniwersytetach nowego typu. Wymyślmy razem ten Uniwersytet!

Spójrzmy prawdzie w oczy: uniwersytet umiera, może już umarł. W obecnej formie i w obecnej kondycji nie jesteśmy społeczeństwu do niczego potrzebni. Sfrustrowani, wypaleni, bezwolni, zastraszeni, narzekający, niezdolni do solidarności, na pewno nie jesteśmy potrzebni. Wyobraźmy sobie, że sfrustrowany

rzeźnik nie jest w stanie rozebrać tuszy wołu, a wypalony rolnik zaorze pól pola i nie posieje, a depresyjny dróżnik nie przestawi zwrotnicy.

„Z wiosną idą chmury / z chmury piorun uderza!” Niech uderzy! Zbliża się maj¹.
Pamiętajmy o paryskim maju 1968. **Ogłaszam alarm dla uniwersyteckiej polonistyki, dla całej uniwersyteckiej społeczności. Niech trwa!!!**

¹ Tekst jest pisemną wersją wystąpienia wygłoszonego na konferencji „Wściekłość i oburzenie. Obrazy rewolty w kulturze współczesnej”, która odbyła się w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego w dniach 17–18 kwietnia 2012 roku [przyj. red.].